Wieczorem Franusiowa (była na jarmarku w Jedwabnem) dzieliła się wiadomościami: – Ludzie chodzą jak błędne. Żydzi nieskore do wymiany żywności za towar, a co to złotówka dziś warta, jek pewnie mogą być ruble? Chodnickim zaniosłam masło. Jech sklep pustawy. Pochowali. Chodnicki dał stryjkoju w prezencie te trzy paczki papierosów i gadał, że już radia z Warsiawy nie słychać. Warszawa ponoć poddała się. Klął na Anglię i Francję, że na początku września wypowiedzieli wojnę, wrzesień się kończy, a z pomocą nie przyszli.

– Posaleli – podjął Franuś. – Sprzedali Austrię, Czechy , to i nie dziwota, że i o Polskę nie dbają. Polska dla nich daleka, a własna skóra bliska. Tak było i będzie. Koszula je na ciele, a świtka dalej – dorzucił sentencjonalnie.

– Będzie, jak będzie – wtrąciła mama. – Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Obaczyta, nie opuści nas.

– Mamu, wszystkiego na Boga zwalać nie można, wszystkim obarczać i wszystkiego żądać – odrzekł Franuś. I widać chciał coś paskudnego

powiedzieć, bo ugryzł się w język, machnął ręką, powiedziawszy: – A ni ma nawet o cem nam gadać!

– Ale, ale, zabacyłam – podjęła bratowa. – Chodnicki radzi stryjkoju przeczekać wojnę w Wagach. Gruzy Warsiawy i później obejrzy.

Były to już pierwsze dni października. Wagi – Warszawa, Warszawa – Wagi, plątały się myśli, gdy ległem później do łóżka.

Następny dzień był pogodny. Jeszcze przed śniadaniem wyszedłem na podwórko. Fura z obornikiem zniknęła, a Kuk z sąsiedniego chlewa wyrzucał następne jego ilości, wkładając go na furę. Wyrzucał – łatwo powiedzieć. Najpierw trzeba było wbić widły w warstwę krowiastego gnoju, pod odpowiednim kątem poderwać ją, a gdy była wdeptana lub nie przegniła dostatecznie, to oprzeć widły o kolano, by z wysiłkiem poruszoną oddzielić, a potem dopiero donieść i wyrzucić.

Poza kośbą to była najcięższa praca i dla chłopów, patrząc się wtedy na to, a to ani nowością, ani odkryciem dla mnie nie było, pomyślałem: – We dworach mają traktory, siewniki, kosiarki, żniwiarki, a chłopa nie stać na to. Czy tak trudno zmechanizować pracę przy wywozie obornika? Jakiś motorek z dźwignią, która rwałaby obornik, kładła na taśmę, przenoszącą dalej na podstawioną furę. Czy brud, smród i wysiłek zawsze będą związane z pracą rolnika? Nikt nie pomyśli, by mu ulżyć – pytałem, jakbym to po raz pierwszy widział.

– Pan to już chyba zapomniał, jak się gnój wywala? – zagadnął Olek. – Tyle lat w mieście, ręce delikatne, to i nie dziwota – dodał, patrząc na mnie z uśmiechem.

– Z wprawy, sprawności wyszedłem, Olku, to prawda, ale to znane mi, nie obce – wyjaśniłem, nim z pustą furą nadjechał Franuś. Przeprzęgnięto konie z pustego wozu do drugiego, napełnionego obornikiem, i udaliśmy się na śniadanie, po którym gospodarz zaproponował: – Kobiety niech pódo do trzęsienia gnoju, a ty, Antoś, jak zechcesz, to popilnuj se bydła na Łączkach, zrób parę mioteł. Ty to majster od tego. Twoja miotła to jak panna ma szyk, że aż chce się ją wziąć do ręki – dorzucił pochlebnie.

Kobiety poszły na pole, a niedługo i ja na Łączki. Po drodze przystanąłem, przyglądając się temu roztrząsaniu gnoju. Takie niby nic. Wziąć odpowiednią ilość na widły i potrząsając, rozrzucić równomiernie na powierzchnię ziemi, a ręce od tego kołowaciały, a w stawach łokciowych

i barkowych nieraz czuło się ból, pomijając już zmęczone mięśnie. Znam, to, znam. Iście babska robota – zadrwiłem, idąc dalej. I znów nasunęła się myśl: – A mechanizacja?

Po zlustrowaniu powierzonej trzódki udałem się na pobrzeże lasu, gdzie ściąłem młode pędy brzozowe i klika jałowcowych batożków. Potem, związane w duży pęk, przyniosłem je na Łączki, siadłem na murawie i zacząłem miotlarską robotę.

Ośmurgane (pozbawione) z liści gałązki dzieliłem odpowiednio, zależnie od długości bądź grubości, potem składałem je, mieszając krótsze z dłuższymi, przewiązywałem wyprawionym (pozbawionym łamliwej środkowej części) jałowcem w kilku miejscach i tak powstawała miotła, której jeszcze trzeba było dać duse (duszę), to jest wbić w środek poprzez jej całą długość odpowiedniej długości śpel (patyk), a na koniec wyrównać i zaopatrzyć w wianuszek (kółeczko z wielkich gałązek nałożone na dolną, wiotką część miotły).

Kiedy złożyłem pierwszą i skonstatowałem, że udana, odłożyłem ją, a sięgnąwszy po papierosa, ni stąd, ni zowąd zacząłem nucić, a potem śpiewać „Przybyli ułani pod okienko".

– A co to tak stryjkoju wesoło? – usłyszałem głos bratowej. Spojrzałem i zaskoczył mnie jej zatroskany wyraz twarzy.

– Stryjku, dali znać, że Józiak Mroczkowiak pomer, jutro pogrzeb. Wypadałoby komuś dziś jeszcze wziąć udział w modlitwach pogrzebowych. Uredziliśmy, że może stryjek by to zrobił. Co stryjek na to? – spytała zasmucona.

– Pójdę. Jakoś się zapomniało, bośmy już wczoraj z Franusiem rozmawiali o odwiedzinach chorego.

– To póde. Franuś gada, że kobyłe osiodła.

– Aha! Niech jeszcze da najlepszy kantar ozdobiony blaszkami, żeby spotkany bojec zapytał „Co ty białorucznik, kuda jedziosz?".

I wracaliśmy pospiesznie, już nie rozmawiając.

Przebrałem się i z grubaśną wileńską kociubą w ręku podarowaną Franusiowi ruszyłem do Wypych. Te kilka kilometrów przemierzyłem szybko, pełen wyrzutów sumienia, żem nie odwiedził jeszcze żywego. W Wypychach czarna chorągiew na podwórku i wydobywający się z chaty śpiew żałobny wskazały miejsce odwiedzin.

Wszedłem do kuchni i nie witając się z nikim, pospieszyłem do drugiej izby, w której w jasnej trumnie oświetlonej gromnicami leżał Józiak z pogodnym uśmiechem na wychudzonej twarzy. Ukląkłem. Nie szeptałem „Ojcze nasz" i zdrowaśki, tylko żal ścisnął me serce, że oto mój krewniak, żołnierz polski, jak wielu innych stracił życie, broniąc ojczyzny, a nie obronił.

– Jeden wróg zagarnął jedną, drugi – drugą połać Polski. Dziś tu tę rdzenną polską ziemię nazywa się „Zapadnaja Biełoruś". Józiak, Józiak, ciebie pogrzebią tu przyjętym zwyczajem. A iluż twych kolegów leży lub tuła się, Bóg wie gdzie? Iluż zginie jeszcze za iluzją wolnej Polski? Bezsens to czy obowiązek? – szukałem odpowiedzi przy trumnie zmarłego.

Kiedy wstałem, wróciłem do kuchni, przywitałem się ze zgnębionymi rodzicami Józika, dowiadując się, że gangrena odebrała mu życie. Nie podnosiłem niedbalstwa w leczeniu. Jakoś rozmowa nie kleiła się nam.

Kiedy wyszedłem z domu pogrzebowego, szarzało, a gdy wchodziłem na własne podwórko, było mroczno, jak i dalej w mej głowie. Psy zaszczekały, potem, poznając, ucichły, ale mroku nie rozproszyły.

Na drugi dzień braterstwo z Helcią pojechali do Przytuł na pogrzeb. Kuk roztrząsał na polu obornik, a ja kończyłem miotełki. Odmówiłem, nie miałem siły jechać, by rzucić grudkę ziemi na trumnę, w której w mundurze wojskowym z naszywkami kaprala spoczywał żołnierz polski. A może śmierć tego chłopaka była dla mnie bardziej bolesną i dlatego, że lubił się spotykać i gawędzić z naszą najmłodszą latoroślą, nim wstąpiła do zakonu?

W niedzielę po południu odwiedzili mnie moi dawni koledzy z lat pastuszych, bracia Tomasiuki, Stach i Franek, dalej kawalerzy. Padały pytania, odpowiedzi, ot, gawędziarka, zwykła wymiana zdań, a dym papierosowy rozsnuł się po całej kuchni. Stateczni, rozważni, pracowici, gospodarzyli rozsądnie na odziedziczonej po ojcu schedzie. Pod koniec odwiedzin bodajże Stach, stwierdzając „Jesteśmy w niewoli, ale ty, Antek, ostaniesz tutaj chyba, bo i po co mas do Warsiawy wracać", zdenerwował mnie okrutnie.

Co jest, u diabła?! – myślałem. – Każdy doradza „Zostań"! Każdy wierzy w jakieś bliskie i szczęśliwe zakończenie wojny. A co mnie tu czeka? Brud, smród i praca, praca wiejskiego chłopa.

Jakby wyczuwając moją rozterkę, Tomasiuk dodał: – Tamoj Niemcy. Tamoj musis być urzędnikiem i dla Skopów pracować w takiej cy jensej formie.

Zatkało mnie.

– To prawda, to jasne. Tu tego uniknę – osądziłem, ale decyzji jeszcze nie podjąłem.

Któregoś dnia następnego tygodnia, gdyśmy się z Franusiem krzątali po podwórku, przyszedł Staś.

– Wy tu łazita, a tam w gaju sołdaty olszynę wam rąbią, że aż trzeszczy. Ponoć rąbali Skrodzkiego, to poszedł, pogadał i przeszli na wasze – informował.

Skonsternowani tą wiadomością, spoglądaliśmy na siebie baranim wzrokiem, a Franuś po chwili wycedził:

– Ścierziece. Bidaj przepadli! A może ty, Antoś, byś do nich poset? Mas lepso gadke, moze ci sie uda?

Z wielką niechęcią, ale poszedłem. Po drodze upaplałem nieco twarz i ręce błotem, słuchając łoskotu spadających na ziemię olszyn. Zbliżyłem się. Na ziemi, pośród pozostawionych ponad metr odziemków, leżały pokotem młode olszaki około dwudziestocentymetrowej średnicy. Pomiędzy nimi uwijali się bojcy. Jedni obcinali gałęzie, drudzy obcinali pniaki na krótsze, inni wkładali je na wóz.

Gdy tak stałem, obserwując tę niszczycielską robotę, podszedł do mnie jakiś starszyna, pytając: – Eto twoje?

– Tak toczno, moje – poinformowałem.

– Żałko? – pytał dalej.

– Da, żałko – potwierdziłem.

– Ech, ciepucha, ukreplenie, znajesz? – dodał, wpatrując się we mnie uporczywie badawczym wzrokiem.

Nie odezwałem się, sięgając machinalnie po papierosy.

– Kurysz? – spytałem, podsuwając otwartą paczkę.

– Da, tolko swoje – oświadczył, wyciągając z kieszeni torebkę i gazetę.

Ta chrupka to były posiekane na drobno badyle tytoniowe. Mój rozmówca urwał potem kawałek gazety, wsypał do niej chrupkę, posiekał zębami brzeg swoistej bibułki, poślinił, zawinął skręta i zapalił. Oniemiałem.

– I taka zaraza ma być lepsza? Przyzwyczajenie, widać przyzwyczajenie – osądziłem.

– A kak twoja familia? – podniósł po chwili starszyna.

– Górski.

– Horski. Na, ładno. My pajdziom dalsze – i rzucił jakieś rozkazy podległym żołnierzom.

Za jakieś pół godziny sołdateska odjechała, a jedynym po niej śladem pozostały pieńki olchowe i rozrzucone w nieładzie gałęzie. Wracałem mimowolnym zwycięzcą, chroniąc nie tylko naszą działkę, ale i cały gaj przed dalszym wyrębem, bowiem bojcy więcej już nie przyjechali.

Uradował się Franuś, gdy zdałem mu relację, a potem inni właściciele dziełek, twierdząc: – Umiał pogadać, umiał, to i poszli.

Bojcy poszli, ale do Wag zawitała władza gminna, a mianowicie towarzysz przewodniczący, towarzysz sekretarz i towarzysz skarbnik. Pierwszy pochodził z Wilamowa, gdzie pracował we dworze jako parobek, drugi z Kolonii koło Przytuł, trzeci ze wsi dawnej gminy w Przytułach. Nazwiska ich pamiętam, ale celowo zmieniam ze względów zasadniczych. Byli to w następującej kolejności: Gliniarz, Lipień, Trepka. Opuszczona chata Chrostowskiej zatętniła życiem. W jednym pokoju mieścił się urząd, w drugim z kuchnią zamieszkał sekretarz z żoną i dwiema córeczkami, a przewodniczący i skarbnik też z rodzinami u innych sąsiadów. Do tej gminy należały wsie: Pieńki, Trzaski, Supy i Chrostowo, a może i Szyjki.

– To i dobrze nam pod rządami dziadaków – określiła matka. – Docekali sie Wagi wyróżnienia, o jakim nikomu sie nie śniło, docekali.

Wieczorem wpadła Konopczyna (żona sołtysa) z wiadomością, że to w gadce wcale walne ludzie.

– Chłop mój – ciągnęła – postawił butelkę i Gliniarz przy wódce orzekł, że wziął ten urząd nie po to, żeby ludzi gnębić, ale żeby jakoś żyć.

– No tak – podjął Franuś. – On będzie żył, a my przy nim konać powoli, bo kołchozem zawsze bedo grozić.

– Franusek to zawdy carno wróży. Toć to też ludzie, a Lipienia to mój stary zna i gada, że choć skryty, to chyba nienajgorszy z niego cłek.

Owo gadu-gadu przesiąknięte obawą i troską o najbliższą przyszłość rozsiadło się smutkiem na opalonych twarzach. Jedne dzieci upominały się o swój wieczorny kubek mleka, by potem, jakby zastrachane, przytulić się do starszych. Na mych kolanach usadowiły się Wandzia i Zdzisia, a kiedy pogłaskałem ich rozchochrane lniane główki, tuliły się rade do mych piersi.

Atmosfera niepewności nie powstrzymała normalnego toku życia. Chłopi wozili obornik, orali pola, baby krzątały się przy lnie. Jeszcze przy niejednej chałupie stukały międlice i cierlice albo w zacisznym zakątku czesano len, odkładając oddzielnie pakuły z główek i korzeni.

Ja pełniłem dalej dzień po dniu rolę bydlęcego pastuszka, a potem doszedł mi obowiązek gumiennego, polegający na kładzeniu słomianej ściółki w chlewach, zagrabianiu podwórka oraz wrzucaniu odpowiedniej ilości siana za drabinki w końskich chlewach. Powoli wydelikacone ręce mieszczucha twardniały i początkowa odraza do brudnej pracy tępiała.

Jednej z niedziel, gdy bawiłem u Stacha, pan Mioduszewski, mąż ówczesnej nauczycielki, zaprosił mnie podczas nieobecności swej żony do siebie i bez wielkich wstępów zapytał:

– Pan zostaje w Wagach czy zamierza wracać do Warszawy? Wydaje się, że rozumnie tu zostać, a jeśli tak, to proponuję wstąpienie do Związku Walki Zbrojnej, podziemnej organizacji wojskowej, mającej za zadanie teraz bierny opór, sabotaż, dywersję, słowem, cichą walkę z okupantem, a potem być może otwartą walkę z bronią w ręku. Wszak pan chyba nie sądzi, że wolna Polska kapnie nam z nieba. Czas zorganizować się i bronić. W dniach najbliższych spodziewam się swego w tym zakresie zwierzchnika. Proszę przemyśleć to, zdecydować i powiadomić mnie, a w przypadku wyraźnej zgody złoży pan przysięgę.

Oszołomiła mnie i uradowała ta propozycja i z miejsca oświadczyłem:

– Tak, zgłaszam gotowość wstąpienia w szranki konspiracyjne.

A pan Mioduszewski z uśmiechem dodał: – Tego byłem pewny.

I tak za kilka dni złożyłem przysięgę, decydując się ostatecznie pozostać w Wagach.

I tak moja wędrówka z Warszawy poprzez Siedlce, Równe, Sarny, Wilno, potem Grodno, Białystok i Łomżę skończyła się wstąpieniem w szeregi walczących dopiero w Wagach, u schyłku października 1939 roku.

A życie dalej biegło swym torem. W listopadzie przyjechał do nas koza, straszyna, zaopatrzeniowiec ze stacjonującej w Siestrzankach sowieckiej jednostki wojskowej. Przyjechał, obszedł zabudowania gospodarcze i pod spichrzem piwnice pełne ziemniaków. A wynik oględzin? Nakaz dostarczenie stu metrów ziemniaków. To już był rabunek. Zaproszony do mieszkania, przy poczęstunku zakrapianym wódką zaniżył dostawę do dziesięciu metrów. Ale nie to było ważne. Ważnymi były jego mimowolne wyznania. Nie było cukru, więc do herbaty podano miód.

– A co to jest? – zapytał.

– Ano miód.

– Miód? U nas też jest tego dużo, rośnie na rozłożystych krzakach. A masło też mamy, zawsze na wielkie święta, na przykład na 1 Maja, można jego i dwie kostki kupić. U nas oczeń charaszo!

Spojrzeliśmy po sobie, a gdy odjechał, temat tego „oczeń charaszo" zasnuł się mgławicą powątpiewań, współczucia i obawy, co nas czeka.

W tymże miesiącu państwo Mioduszewscy wyjechali gdzieś w Grajewskie, w swoje strony, a na ich miejsce do Stasia wprowadziła się rodzina Hołodziuków w składzie: para małżeńska (nauczyciele), jego matka i dwie siostry podlotki. Nazwisko ukraińskie, przepiękna polszczyzna, jego przynależność państwowa ZSRR. I rozgryź takich trafnie! A jednak okazali się Polakami.

On często zaglądał do miejscowego sielsowietu, uzgadniając, a może i narzucając władzy gminnej tok postępowania z ludnością. Z nim też niejednokrotnie gawędziliśmy, co tam za żelazną kurtyną w ZSRR. Tematu ZWZ czy AK nigdy nie poruszaliśmy, ale niejedną legionową piosenkę, siedząc przy kaganku i samogonie, prześpiewaliśmy. Mnie śniła się wolna Polska, może jeszcze Ukraina, jej stepy, bo i „Wołga, Wołga, mać radnaja" niekiedy rozsnuła się i tęsknie, i rzewnie w wiejskiej chacie łomżyńskiej ziemi.

Był zwolennikiem socjalizmu, a komunizm uważał za utopię.

– W naturze ludzkiej od dzieciństwa tkwi głębokie przywiązanie do własności i wolności. Wszelkie ograniczenia wywołują sprzeciw.

Wydumana komunistyczna wspólnota, wyzbyta podstawowego czynnika, jakim jest samodzielność i przedsiębiorczość – mawiał – tworzy karłów. Naród – dodawał – bez religii i wiary to bezduszna płycizna i upadek. Narodowi rosyjskiemu wydarto własność i wiarę, dając w zamian tezy utopijne i w ich ramach pracę najemną w przemyśle i w rolnictwie. Wieś zamknięto, odgrodzono od miast, regulując ruch ludności przepustkami. Leninowi nie udało się wcielić swej idei w życie. Za krótko żył. A Stalin spaczył ją doszczętnie. Jego i jego popleczników cechował zamordyzm, idąc po trupach zapewniał wygodne życie sprzyjającym mu klikom, ale nie narodom. Czy tam w ZSRR robotnik i chłop zyskał dla siebie coś istotnego z rewolucji tak krwawej, tak bezlitosnej? Piękne hasła, poza którymi kryje się tęsknota ludzka za lepszym, tak zwana wolność, równość, braterstwo i sprawiedliwość, w Rosji utonęły w dyktatorskim brudzie samodzierżcy.

To był w zasadzie kościec, osnowa poglądów tego człowieka.

Przysłuchujący się tym wypowiedziom Franuś rzucił pytanie: – To już my przepadli? Rozkułaco nas, rozdzielo, powywozo. Tyloj to nas ceka?

– Panie – padła odpowiedź. – Świat to ani zaczyna się, ani kończy. Tyrani, Stalin i Hitler, są sobie równi. Prędzej czy później chwycą się za gardła. Dyplomacja Zachodu będzie usilnie pracować, by tak się stało i to w obronie własnych interesów, a nie naszych, nie Polski. Jeśli nastąpi to wcześniej, przesiedź pan na swoim, jeśli się przedłuży, kto dziś może przewidzieć chwyty rosyjskiej zaborczości. Wszak już dziś dla terenowych zdobyczy komunizm powąchał się z hitleryzmem, a ich polityczna gra jutro może zrealizować swe cele.

W czasie jego wypowiedzi rzucałem różne uwagi, nie negując istoty poruszanego tematu. Mimo zaskoczenia przyszło mi czekać kilka dobrych lat, by dwaj tyrani chwycili się za gardła.

W 1942 roku został powołany i wcielony do sowieckiej armii. Nie powrócił, zginął. W późniejszym czasie matka zmarła, siostry wyjechały podobnież do USA. Wolną Ukrainę też spowiły mgły.

Latem 1940 roku Franuś otrzymał list z Kazachstanu od pani Nowotko, której mąż, major wojsk polskich, poległ w walce z Niemcami. Mieszali za Piątnicą, w okolicy fortów, we własnym domku, prowadząc szkółkę drzew owocowych. U nich w 1938 roku kupił kilka sadzonek

jabłoni. Traf chciał, jak informowała Nowotkowa, że wywożona przez Sowietów z dziećmi wzięła ze sobą książeczkę do nabożeństwa i w niej już w Kazachstanie znalazła nasz adres. Pracowała tam w lesie, zagubiona w dzikiej, odległej ustroni. Prosiła przede wszystkim o bieliznę i ubranka dla dzieci, a gdyby i tak coś z żywności, byłaby niezmiernie wdzięczna. Ciekawy byłem reakcji braterstwa. Wszak jej dzieci były większe od wagowskiej dzieciarni. Trzeba było już trudem tę odzież nabyć i przesłać, jak się okazało potem, z odległego o kilkadziesiąt kilometrów Zambrowa. A jednak kupiono, zapakowano ciuchy do jednej paczki, do drugiej peklowaną obwędzaną słoninę, jakąś tam kaszę i nieco grochu. Franusisko powlókł się z tym, by wrócić nieomal po trzech dobach.

– Toć biednej babie trzeba pomóc – oświadczył po powrocie.

Gdy nadeszło potwierdzenie odbioru, poszły następne paczki, a ostatnia na dwa tygodnie przed wybuchem wojny w czerwcu 1942 roku.

Latem 1945 roku zgłosiła się do nas ta trójka kazachstańskich skazańców, zbiedzona, w byle jakiej odzieży.

– Ubrania były gorsze – informowała przestępczyni. – To, co mamy na sobie, to dar dobrych serc naszych lwowianek.

I nie wstydząc się, podniosła sukienkę, by pokazać mocno znoszone majtki.

– Tam tego już się nie zna – dodała, przystępując do opisu swych przeżyć. Stawały przed oczyma trudy podróży, pracy, głód, kradzieże, by go zaspokoić byle czym, pierwotne warunki mieszkania, słowem całość socjalistycznych zdobyczy, tak spaczonych, tak urągających założeniom Wielkiej Rewolucji Październikowej.

– Ona kłamie, to nieprawdopodobne, by tak móc żyć i przeżyć, by tak zdeptać ludzką godność – myślałem zaszokowany. A zwierzenia płynęły lawiną i łzy po pooranej zmarszczkami twarzy, a dzieciska ze skażoną już polszczyzną uzupełniały obraz nędzy i rozpaczy.

– Bóg jest czy go nie ma? – pojawiło się wtedy nagle w mym łbie uporczywe pytanie. Krótko bawili u nas, opuścili Wagi nazajutrz. Po niedawnym powrocie z ewakuacji jeszcze budynki gospodarcze niepodźwignięte z ruin, jeszcze i sami bytowaliśmy byle jak, byle przetrwać. Cóż, nagi gołego nie mógł przyodziać i znajomość się urwała.

Na miejscu współżycie z władzami sielsowieta jakoś się ułożyło. Gawędzili przy spotkaniu, czasem któryś wpadał do chaty w sprawach urzędowych, a niekiedy i na prywatną pogawędkę.

Jednego z zimowych wieczorów 1941 roku zawitał do nas przewodniczący z nieodłącznym skarbnikiem, obaj poznani już popijbracia. Przyszli już pod niewielkim rauszem. Cóż, znalazła się na stole samogonka z chlebem i słoniną na zakąskę, zasłoniło się okna i popłynęła nie gawęda, ale wóda. Franuś chlapnął pierwszą porcję, dotrzymywałem towarzystwa, dolewając ostudzoną wodę, a oni ciągnęli szklanicę za szklanicą. W pewnym momencie wzięli się za bary i poszli w tan, by naśladując kozaka, dreptać i przysiadywać, przy czym niejednokrotnie padali na podłogę. Wyczerpani, siedli potem i zaczęli śpiewać swoje sprośne piosenki. Zapamiętałem z nich jedną: „Jedna dała, druga dała, trzecia dać przyobiecała. Hu, ha, trzecia dać przyobiecała. A ja wielki geroj teraz, którą zechcę, to wybieram. Hu, ha, hu, ha, którą zechcę to wybieram". A druga: „Ty Hucuł i ja Hucuł, oba by Hucuły. Jak nas tate majstrowały, to mame nie czuły". Rozgłośne „hu, ha" rozlegało się po chałupie, zanim nie udało się w sposób taktowny gości wyprowadzić.

Wyprowadziłem ich przed ganek, a oni chwieli się, chwytając się za obelkowanie. Mróz, śnieg jak diabli. Wróciłem po kurtkę i czapkę i jakoś zawiodłem ich przed chałupę, w której jeden z nich mieszkał, by przypadkiem pozostawiony sami sobie któryś nie upadł i nie zamarzł. Przed chałupą moi współtowarzysze nie chcieli się ze mną rozstać.

– Tyś chłop, tyś fajny kumpel, choć kułak. Tyś godny kawaler. Chodź z nami, prześpij się z babą moją – oferował w końcu któryś. Jakoś udało mi się wepchnąć ich do sieni i czmychnąć do domu.

Gdym opowiedział o zgłoszonej ofercie, cała nasza chałupa wypełniła się śmiechem.

Kilka dni potem przewodniczący przy spotkaniu wyszeptał: – Ale to było posiedzenie! Alem się schlał, że o Jezu! Alem się obudził w łóżku przy babie skarbnika.

– I co? – spytałem.

– I nic! Byłem niemogętny.

I tak niechcący uszanowałem władzę.

W okresie tym sekretarz obwodu jedwabieńskiego po lustracji wagowskiego sielsowieta przenocował u nas. Przenocował, doprowadzony przez sołtysa, i pod warunkiem zachowania ścisłej tajemnicy. Cóż, sekretarz partyjny i kułacy, pełna krańcowość. A jednak młody, sympatyczny człowiek, noszący polskie nazwisko Kazimierczak czuł się u nas swobodnie.

– U was Ameryka, a u nas, znajecie, bolsze nie gawarić – oświadczył, udając się na spoczynek. Wczesnym rankiem zaprosił mnie do siebie na „pogwarkę" i wymknął się ostrożnie z naszego podwórka.

W ustalonym dniu udałem się do niego, biorąc z sobą kawał peklowanej słoniny. Zajmował z żoną pokój z niewielką kuchenką. Mieszkanie, więcej jak skromne, ozdabiał tylko portret Stalina. Ciekawy szczegół, w obecności żony nie poruszał tematu politycznego i chwalił to, co potępiał, gdy jej nie było. Wspominał o swym dzieciństwie, ojcu, który rozkułaczony zginął potem na Syberii, matkę, która za słowa „Eto durny czełowiek", wyrażone o jakimś partyjniaku, poszła do więzienia. Zakończenie było wprost zaskakujące.

– Ty nie chłop, ty inteligent – oświadczył. – I, Gorski, jeśli w Boga wierzysz, módl się, żeby u was nie było tak jak u nas.

O dolo ludzka, o życie ludzkie, życie okupowane, zbezczeszczone w bajorze spaczonej idei łapami dyktatorskich łobuzów!

Pozornie wydawać by się mogło, że życie w tym kącie toczyło się normalnie. Może i tak, jeśli chodzi o sprawy natury gospodarczej, o pracę dyktowaną porami roku, ale stresów nie brakowało.

Sztuczne, papierkowe dzielenie we własnym zakresie gospodarstw i dobytku specjalnie dla urzędu groziło zawsze wsypą. Ponadto wywożenie tu i ówdzie całych rodzin stwarzało poczucie ciągłej niepewności. Wprawdzie nasz przewodniczący zapewniał, że dopóki on urzęduje, do łączenia i wywózki nie dopuści, ale czy to od niego zależało?

W urzędniczej ewidencji nasze gospodarstwo nie było jedno. Część zasadniczą posiadał Franuś, część mama, część Helcia. Zboża w stodołach i zwierzęta w chlewach też były podzielone. Podobny sztuczny podział istniał nieomal u wszystkich sąsiadów w Wagach i okolicznych wsiach. Co więcej, pozostał prawie nie zmieniony w pierwszych latach Polski Ludowej. Wieś broniła się przed haraczem wysokich kontyngentów, przed biologicznym unicestwieniem.